

MARIAN FILAR

## ROLA MEDIÓW W KREOWANIU ZAGROŻEŃ I SPRZYJANIU POPULIZMOWI\*

Autorowi niniejszego opracowania los spłatał złośliwego figla. Będąc do tej pory klasycznym konsumentem produktów prawnych, gościem restauracyjnej sali, któremu kelner serwuje gotowe danie, ten zaś ocenia jego smak, zapach itp. cechy, sugerując ewentualne sposoby jego przyrządzenia *de lege ferenda* oraz konsumpcji *de lege lata*, znalazł się w legislacyjnej kuchni i szybko zorientował, iż jest to miejsce dość banalne i w porównaniu z salą restauracyjną mało eleganckie. A już z pewnością trudno w nim doszukać się wzniosłych bytów (o których zresztą świeżo upieczony kucharz jako uniwersytecki profesor przez lata mawiał studentom), takich jak np. wola ludu, racjonalność ustawodawcy itp. Z każdego kąta tego przybytku wзира natomiast trywialna polityka.

Choć prawo i polityka, jak bohaterowie znanego niegdyś wierszyka dla dzieci *Paweł i Gawel* „w jednym stoją domu”, nie są lokatorami żyjącymi w pełnej harmonii. Zwłaszcza w Polsce, gdzie polityka, jak ów Gawel z dziecięcego wierszyka, „najdziksze wyprawia swawole” i jeśli w ogóle ucieka się do pomocy prawa, to nie po to, by znaleźć w nim inspirację dla właściwego wyboru decyzji politycznych co do określonych przedsięwzięć, tylko po to, by uzyskać z jego strony wsparcie (w czym niestety przypomina bohatera dowcipu o pijaku i latarni). Polityka zmierza więc nie do stworzenia z prawa instrumentu jej samoograniczenia, lecz do całkowitego podporządkowania sobie prawa i uczynienia z niego czegoś na kształt listka figowego mającego usprawiedliwić określone przedsięwzięcia polityczne *a posteriori* wedle mechanizmu – najpierw działania motywowane jednoznacznie politycznymi przesłankami bez nadmiernego „zawracania sobie głowy” ich prawnymi podstawami, a później, zwłaszcza gdy wokół sprawy zaczyna robić się „huczek”, próba znalezienia dla tego działania określonej „podstawy prawnej”. Tak rozumiane prawo jest więc służką, a nie współsuwerenem.

Brytanami polityki, przynajmniej od czasów gdy ludzie przestali czytać książki, zaczęli natomiast czytać gazety i słuchać tzw. mediów elektronicznych lub oglądać ich programy, stały się tzw. środki masowego przekazu. W systemach autorytarnych trzymano je na łańcuszku kontroli (m.in. poprzez instrumenty prewencyjnej cenzury totalitarnego państwa). W państwach pluralistycznych łańcuch ten się urwał. Media stały się wolne od politycznej cenzury prewencyjnej, a i cenzura represyjna stała się

---

\* Referat wygłoszony na III Ogólnopolskim Zjeździe Katedr Prawa Karnego, zorganizowanym przez Wydział Prawa, Administracji i Ekonomii Uniwersytetu Wrocławskiego, Szklarska Poręba, 24–27 września 2008 r.

w znacznej mierze iluzją. Nastąpił też nowy podział na tzw. media tabloidalne oraz tzw. media poważne. Część „mediów poważnych” szybko jednak sprzedała swą nowo odzyskaną wolność określonym ugrupowaniom politycznym (często wręcz były one przez nie wykreowane) lub została przez nie po prostu „zdobyta” na kolejnych etapach walki politycznej na zasadzie „prawa łupów” inspirowanego jeszcze starszą regułą *quius regio eius religio*. Media te w większej lub mniejszej mierze stały się polityczną tubą swego „chlebodawcy”, realizując mniej lub bardziej wiernie jego linię polityczną. Stwarzały one zarówno „przygotowanie artyleryjskie” dla politycznie planowanych przedsięwzięć legislacyjnych swego ugrupowania, jak i „ogień osłonowy” dla konkretnych przejawów praktycznej aplikacji wprowadzonych już zmian legislacyjnych. Dysponentem „tabloidów” był natomiast nieco inny pan – wolny rynek, którego głównym bożkiem jest zysk. Chodziło więc po prostu o to, by sprzedać najwięcej egzemplarzy gazety, osiągnąć najwyższą oglądalność lub słuchalność (z czym wiąże się atrakcyjność danego medium dla reklamodawców). Droga do tego była prosta. Pomijając już nawet znane bodźce podkorowe, takie jak np. atrakcyjność formy graficznej, oczywiste zastosowanie znalazła znana recepta twórcy horrorów Hitchcocka – „najpierw musi być trzęsienie ziemi, a potem napięcie wzrasta”. Istotą trzęsienia ziemi było zawsze to, by odbiorcę na wstępie możliwie najbardziej wystraszyć zagrożeniem, które czyha na niego z każdego kąta. Człowiek wystraszony jest bowiem podatny szczególnie na psycho- i socjomanipulację. Wystraszonemu potem trzeba dać prostą diagnozę przyczyn zagrożenia, broń Boże nie hamletyzując i nie intelektualizując przy tej okazji. Ludzie w swej masie wolą bowiem sprawy proste i oczywiste. Jednak im prostsza diagnoza, tym prostsza terapia. Ludzie lubią łatwe terapie konstruowane na zasadzie prostych, potocznych reguł przyczynowości.

Dziedzina patologii społecznej i przestępczości oraz sfera polityki kryminalnej jako antidotum na te zjawiska pasowała jak mało która do tej konwencji. Ludzie boją się na ogół wszelkiej „inności” w myśl rosyjskiego przysłowia: *pierwoje szto by nie odstawat' od kolektiwa*. Inność zaś skłonni są utożsamiać z patologią społeczną, patologię z przestępstwem, przestępstwo z kolei z karą. A że „inność” kojarzą z „innymi”, nie dopuszczając nawet myśli, że to oni sami mogą kreować warunki sprzyjające rozwojowi takich patologii, recepta na zwalczanie patologii jawi się nad wyraz prosto – trzeba „innym” „dać po łapach”. I to możliwie coraz mocniej i za coraz większą liczbę czynów uznanych za patologiczne. Przekonanie to przypomina zakorzenioną wiarę, że synek tatusia, który ma dwa razy grubszy pas i często robi z niego użytek, będzie dwa grzeczniejszy od synka tatusia, którego pas jest dwa razy cieńszy, a puszczenie go w ruch dwa razy rzadsze. Obywatel wystraszony perspektywą stania się ofiarą przestępczych „innych” jest łatwym łupem dla żadnych jego wyborczego głosu ugrupowań politycznych i chętnie odda swój głos tym, którzy obiecują szczególnie konsekwentne i zdecydowane „pogonienie kota” owym „innym”, a tym samym większe w ich mniemaniu bezpieczeństwo. W warunkach ostrej konfrontacji polityczno-ideologicznej w systemach pluralistycznych politycy wykazują ogromne ciągoty do wyzyskania tego mechanizmu dla swoich celów. Prowadzi to nieuchronnie do postępujących procesów kryminalizacji i penalizacji. Coraz większa liczba czynów staje się przedmiotem zakazów prawa publicznego i coraz surowsze kary grożą ich sprawcom. Proces ten zarysował się zresztą już od pierwszych lat funkcjonowania III Rzeczypospolitej. W okresie od upadku PRL do 1996 r. kodeks karny zmieniany

był 26 razy, w tym aż 18 przypadków sprowadzało się do jego zaostrzenia połączonego z rozszerzeniem sfery kryminalizacji (nie wspominając już o tzw. regulacjach pozakodeksowych)<sup>1</sup>. Nasilił się on jeszcze po uchwaleniu nowego kodeksu karnego z 1997 r., który niemalże od swego „przyjścia na świat” poddawany był nieustannym zmianom. Jeśli przypominamy sobie, iż 1 września 2008 r. minęła dziesiąta rocznica tych narodzin, to nie może nie sprawić wrażenia konstatacja, iż nasz „małolat” w tym okresie poddany był 26 nowelizacjom (a więc prawie trzem rocznie), z czego 22 miały charakter wyraźnie zwiększający jego represyjność!

Jest to dynamika nieporównywalna nie tylko z czasami II Rzeczypospolitej, ale nawet z czasami PRL, a także okresem III Rzeczypospolitej – między jej powstaniem a wejściem w życie k.k. z 1997 r.! Nie wspominamy tu o dalszych projektach nowelizacji, zaostrzających ten kodeks, które nie zostały uchwalone, z projektem praktycznie nowego kodeksu karnego na czele, złożonym w Sejmie przez PiS jako projekt poselski, który w swej represyjności „prześcigał” nie tylko k.k. z 1997 r., lecz nawet k.k. PRL z 1969 r. (o k.k. z 1932 r. nie wspominając).

W ramach niniejszego opracowania nie sposób oczywiście szczegółowo zaprezentować postawy mediów wobec tej tendencji. Ogólnie można by jednak powiedzieć, iż poza nielicznymi wyjątkami nie tylko tendencje te popierały, ale i często je wręcz promowały. Głównym argumentem, mającym uzasadnić ten kierunek, była na ogół teza o dynamicznym wzroście przestępczości. Jeśli teza ta jeszcze w latach dziewięćdziesiątych i na początku nowego stulecia miała pewne uzasadnienie (abstrahując tu od szczegółowych aspektów kryminologicznych tego wzrostu), to obecnie straciła je całkowicie wobec pohamowania tendencji wzrostowej przestępczości, a nawet jej spadku w obecnej dekadzie (liczba przestępstw stwierdzonych kolejno w latach 2005, 2006 i 2007 wynosiła odpowiednio: 1 379 962, 1 287 918, 1 153 543). Wyraźny spadek dotyczył w tym okresie także przestępstw najpoważniejszych, takich jak zabójstwa (spadek z 1263 w roku 2000 do 800 w roku 2007), zgwałcenie (z 2399 w roku 2000 do 1800 w roku 2007). Jedynie liczba czynów seksualnych z nieletnim (art. 200 k.k.) utrzymuje się od kilku lat na niezmiennym poziomie (ok. 1700 rocznie). Warto tu odnotować niezwykle dynamiczny spadek kradzieży samochodów i ich kradzieży w celu krótkotrwałego użycia. I tak liczba tych pierwszych przestępstw spadła między rokiem 2000 a 2007 z poziomu ponad 68 tys. przypadków do 30 529, a jego *furtum usus* z poziomu 18 792 do 6666. Zjawiska te zostały przez media praktycznie niezauważone. Wytworzył się natomiast swoisty *modus operandi* w „technologii straszenia” opinii publicznej niebezpieczeństwem płynącym z popełnienia niektórych przestępstw, a następnie w atmosferze wzrastającego dla nich potępienia – dynamicznego promowania zmian legislacyjnych w kierunku zaostrzenia odpowiedzialności za te czyny.

A oto schemat owego działania:

- najpierw wybiera się chronione prawem dobro szczególnie wrażliwe z punktu widzenia jego ochrony w powszechnej opinii publicznej (np. „nasze dzieci” w aspekcie ich ochrony przed zamachami pedofilów);

<sup>1</sup> Szczegóły zob. M. Filar, *Polityka kryminalizacyjna III Rzeczypospolitej, Państwo i Prawo* 1996, z. 11, s. 46 i n.

- potem nagłaśnia się na ogromną skalę jakiś szczególnie indywidualny przypadek takiego przestępstwa, nawet jeśli nie ma on wiele wspólnego z istotą zjawiska (np. uznanie za przykład pedofilii znanego przypadku spod Siemiatycz, który ani w sensie prawnym, ani też kryminologicznym nic wspólnego z pedofilią nie miał), eksponując jego groźę i sugerując opinii publicznej, iż aktualna jego ochrona prawna (zwłaszcza sankcja) jest niewystarczająca dla ochrony potencjalnych ofiar i trzeba ją zaostrzyć (co często jest zwykłą nieprawdą, gdyż czyny te w praktyce pozostają w zbiegu przestępstw lub przepisów ustawy z innymi przestępstwami, co pozwala na zaostrzenie sankcji pierwotnej);
- następnie „do boju” przystępują politycy przyodziani w szaty szlachealnych obrońców „naszych dzieci”, zapowiadając, a potem wnosząc na ścieżkę legislacyjną projekty zmian prawa, zawierające regulacje znacznie zaostrzające dotychczasowe w tym względzie. Rozlegają się wówczas rzesiste brawa większości mediów oraz opinii publicznej, któżby bowiem nie bił braw szlachealnym obrońcom „naszych dzieci”;
- w atmosferze tej parlament szybko uchwała zmiany (także wtedy, gdy ich poziom techniczno-legislacyjny jest mizerny), któż bowiem, myśląc o wyborczej kartce, odważyłby się blokować inicjatywę w obronie „naszych dzieci”?

Dalej przepis wchodzi w życie, ale tak naprawdę nic nie zmienia, gdyż nikomu nie przychodzi do głowy, aby wykonać jego postanowienia. Nadchodzi jakiś nowy przypadek drastycznego przestępstwa określonego rodzaju, no i cała „zabawa” zaczyna się od początku.

Metodę tę po raz pierwszy zastosowali bodajże dziennikarze magazynów motoryzacyjnych, prasowych i telewizyjnych. Za sprawą ich kampanii art. 214 k.k. z 1969 r. zmieniono ustawą z 1995 r. w ten sposób, iż sankcje za kradzież użytkownika samochodu zrównano z sankcją za kradzież zwykłą, a nawet w pewnych przypadkach kwalifikowanych dodatkowo ją zwiększono, co doprowadziło do stanu rzeczy, w którym bardziej „opłacało się” ukraść po prostu samochód, niż zabrać go w celu krótkotrwałego użycia w formach kwalifikowanych. Ponieważ jednak samochód był w tamtych czasach trudno dostępnym dobrem, graniczącym z przedmiotem kultu, obrońcom ulubieńca mas przykłaśnięto bez wahania. W praktyce przepis ten nie ochronił prawdopodobnie ani jednego samochodu, o sygnalizowanym już zaś drastycznym spadku liczby tych czynów w drugiej połowie bieżącej dekady zadecydowała normalniejsza sytuacja rynkowa, dzięki której samochód przestał być wyśnionym i godnym heroicznej obrony darem fortuny, a stał się praktycznie ogólnodostępnym dobrem.

Pomijając – wobec braku miejsca – liczne przypadki pośrednie, warto jedynie przypomnieć, że ostatnio metodę taką zastosowano w sprawie nowelizacji k.k. w zakresie karalności pedofilii (po raz drugi, zresztą ze względu na nagłośnienie problemu). Przykładem był tu kazus siemiatycki (choć z pedofilią, jak już wspomniano, nie miał nic wspólnego), dobrem chronionym zaś „nasze dzieci”. W atmosferze kompletnego pomieszania pojęć i pogardy dla wszelkiej wiedzy prawnej i kryminologicznej politycy wystąpili z propozycjami nowelizacyjnymi, których ze względu na niechęć do używania „grubych słów” nie warto tu nawet komentować. Bardzo chciałbym być złym prorokiem, ale jestem prawie pewien, że propozycje te zostaną przez parlament przyjęte. Któż bowiem ośmieliłby się narazić na zarzut lekceważenia dóbr „naszych dzieci”? A że proponowane rozwiązania legislacyjne niczego w rzeczywistości nie

zmienia, któżby się tym przejmował? Sygnał trafi do wyborców, a wkrótce „na tapecie” pojawi się nowy podobny problem.

Czas na konkluzję. Wedle mojej oceny, współczesne media w Polsce (poza nielicznym wyjątkami) odgrywają istotną rolę w kreowaniu populizmu prawnokarnego i sprzyjaniu mu, w efekcie zaś w destabilizacji i destrukcji prawa w Polsce. Przyczyny tego zostały już ogólnie zasygnalizowane powyżej. Nie oznacza to oczywiście żadnych ciągotek autora opracowania do czasów minionych, gdy to „jedynie słuszną” linię mediów nakreślano na periodycznych konferencjach w „Białym Domu”, a na straży jej przestrzegania stała instytucja przy ul. Mysiej. Pragnąłbym jedynie z tego miejsca zaapelować do mediów, które uzyskały w nowej Polsce wolność, by zechciały, biorąc pod uwagę swe społeczne znaczenie i moc oddziaływania, w pogoni za czytelnikiem, a czasem i w uległości politycznemu mocodawcy, zachować poczucie odpowiedzialności i nie rozmieniać lekkomyślnie uzyskanej wolności na drobne. W przeciwnym razie przyjdzie kiedyś zanucić znaną piosenkę o krakowskiej czapce z piór.